

sobiście nie rozumiem go wcale!... Nie wiem, czy i pan się na nim pozna!... Zresztą nie ma nic niemożliwego!

I z wewnętrznej kieszeni swego zakietu wyjął niezapieczętowaną kopertę... Otworzył ją ostrożnie i dostał z niej arkusz złożony we czworo...

— Oto, co mi pozostawił mój klient dla wręczenia panu, jeżeliby nie zechciał pan poddać się jego rozkazom... Jest to rebus, jaki się widuje na ostatniej stronicie illustrowanych pism... Ja nie mam odpowiednich zdolności do podobnego rodzaju zagadek! Może pan okaże się domyślniejszym.

Rozłożyłem bez najmniejszego pośpiechu ten arkusz i nie wiedziałem, czy śmiać się, czy widzieć tylko w tym papierze płód pomieszanego umysłu...

U góry arkusza napisał William po angielsku równo i poprawnie słowa, które umieściłem w tytule opowiadania o mych strasznych przygodach:

„Człowiek bez twarzy“.

Pod tem znajdował się rysunek, który przedstawia podobiznę twarzy w okularach.

Pozostałem jak osłupiały, z ściśniętym gardłem przed tą twarzą bez ust, bez nosa, bez rysów żadnych... w której tylko oczy ukryte za okularami, zdawały się odbijać w sobie jakby w jakimś tajemniczym lustrze, mą przestraszoną postać. Na dole karty jako podpis znalazłem tę niejasną formułę algebraiczną:

$$3B + 3 + S + 2N + T = X$$

— Co to znaczy? — zawołałem przejęty nagłym strachem. — Czy to ma być żart? Czy nie wspominał pan, panie mecenasie, przed chwilą o aberracji umysłowej, mówiąc o pogardzie Williama dla pieniędzy?

— Nie zdaje mi się, by był to żart! — odpowiedział adwokat. Jest to zadanie... które pan sam tylko może rozwiązać i którego znaczenie tylko William posiada! Ja się nie znam wcale na matematyce... widzę jednak, że jest to równanie... Jest w tem małym zadaniu algebraicznym, na pozór bardzo skomplikowanym... lub jak pan chce, bardzo łatwym... wielkość niewiadoma, którą trzeba odkryć...

— Tak... tak!... — szeptałem. — X ma być właśnie tem niewiadomym.

— Brak jakichkolwiek rysów w tej figurze przypomina pańską twarz, master Brentano, spaloną przez wiatr!

— Pan żartuje!

— Jest to tylko me osobiste wrażenie, do którego zresztą nie przykładał sam żadnego znaczenia!... Co zaś do tej formuły algebraicznej, to rozumiem się na niej tyle, co i na hebrajszczyźnie!

Nie słuchałem już adwokata. Zahipnotyzowany tą formułą, łamałem sobie głowę nad znaczeniem, jakie William włożył w te niezrozumiałe dla mnie litery... Nie dochodziłem jednak do żadnego wyniku! Czytając jednak głośno kilkakrotnie tę formułę i zaczynając ją od 3 B, zwróciłem nagle uwagę na to, iż od B zaczynają się oba me nazwiska Barrabas i Brentano i że B w Barrabas powtarza się dwa razy, co razem stanowi właśnie 3 B! Jedna chwila zastanowienia się okazała mi, iż William do swej formuły użył tylko spółgłosek!... Schwyciłem szybko za pióro i napisałem na papierze dwa nazwiska... swe dwa nazwiska. Natychmiast poprzekreślałem samogłoski, by zobaczyć, do czego mnie to doprowadzi i zastąpiłem je punktami:

BR. NT. N. B. RR. B. B. S.

Gdy dodał razem jednakowe litery tego hieroglifu, otrzymałem pierwszą część równania:

$$3B + 3R + S + 2N + T$$

Zimny pot wystąpił mi na czoło!... Odrzucając zupełnie X, zacząłem przedstawiać w najrozmaitszy sposób dane litery i doszedłem do jedyne go możliwego rozwiązania:

+ B. RR. B. S. = — BR. NT. N.

Co innemi słowami znaczy: Brentano jest Barrabasem.

— Odgadł pan ten rebus? — zapytał mnie po chwili milczenia adwokat.

Złożyłem starannie arkusz z rozwiązaniem i zadaniem, ułożonym przez Williama, włożyłem oba do teki i zamknąłem je w szufladzie swego biurka, potem dopiero odpowiedziałem adwokatowi:

— Posłucham pańskich rad, panie mecenasie... Zdaje mi się, że William ma rację! Pozostanę w Stanach Zjednoczonych i będę rządził jego majątkiem i swoim. Jest to lepsze, niż jechać do Francji i narażać oba majątki!

Obróćca mój, nie domyślając się nawet właściwego znaczenia mych słów, zamienił ze mną serdeczne shake-hand i dodał na pożegnanie:

— Wiedziałem, że człowiek, który jest wart sto pięćdziesiąt milionów dolarów, nie będzie postępował lekkomyślnie!

...Tak więc William, jedyny na świecie, odgadł, kim ja jestem rzeczywiście. Nie były to jakieś przypuszczenia i podejrzenia, które mi dał poznać zaraz po swym przyjeździe do Nowego Jorku, lecz było to formalne oskarżenie, zawarte w tajemniczej for-

ciężkie, iż zdawało mi się, że wpadam w agonię nie tylko duchową, lecz i cielesną. Krew uderzała mi do głowy... Położyłem obie ręce na biurku, głowę oparłem na łokciu i zacząłem płakać żałośnie nad swym losem, nad swą samotnością...

I zdawało mi się, że jak we śnie, słyszę głos pana Tecka, powtarzającego mi to, co powiedział po mem aresztowaniu:

— Jest pan teraz, master Brentano, podobny do muchy, która trzepoce się bezsilnie w pajęczynie, utkanej przez zręcznego pajaka!

## XXII.

...Przez dwa lata zachowywałem ściśle rady pana Tecka! ...Przez dwa lata byłem królem papierowym, Jonatanem Brentano i nigdy, ani na jedną minutę dnia lub nocy nie stawałem się kim innym, człowiekiem, którym powinienem być, człowiekiem, którym byłem w rzeczywistości, człowiekiem, o jakim wiedział William i jakim nie chciał, bym był!

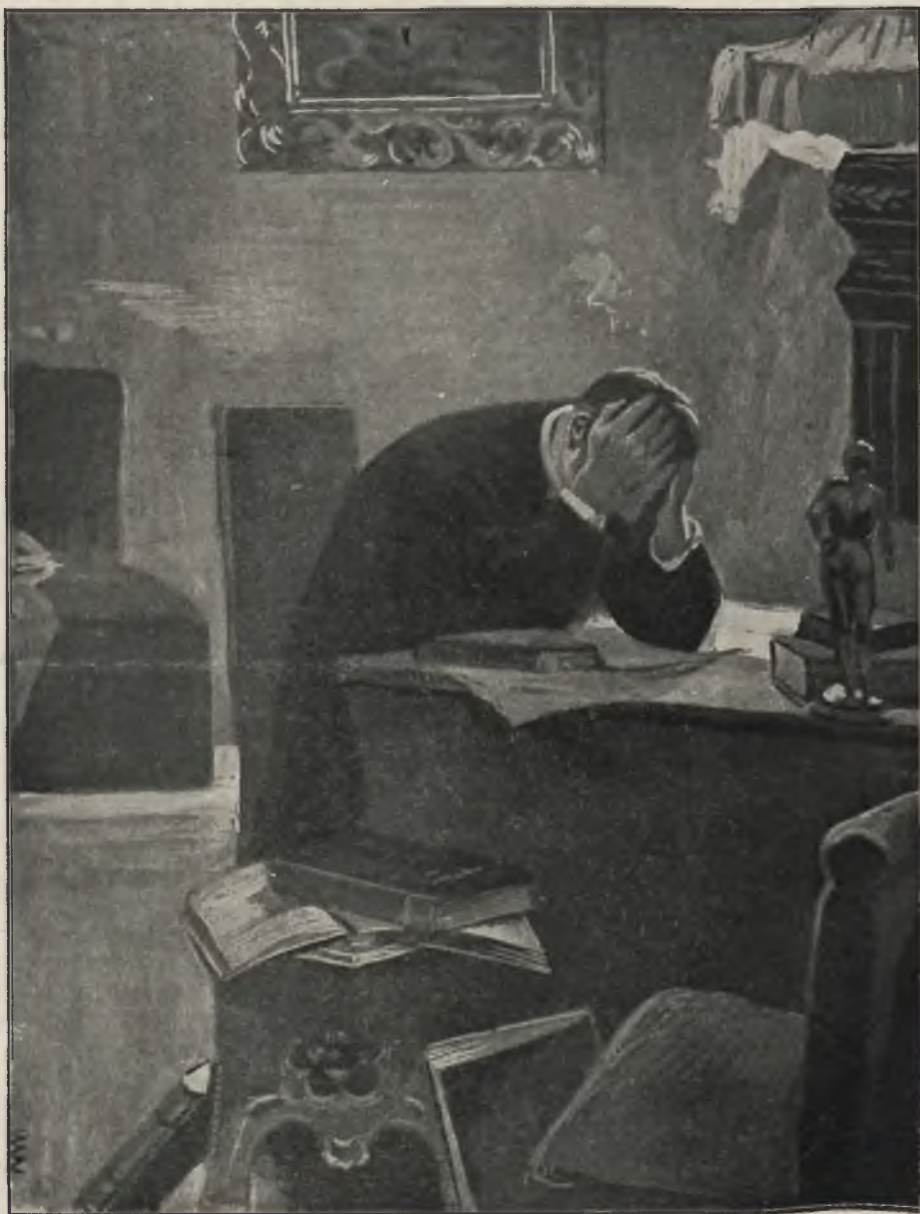
...Przez dwa lata rozwijałem nieustrudzoną działalność, przebiegałem niezmierzone przestrzenie od nowego Jorku do Bostonu, od Chicago do miast Luizyany, zakładając nowe fabryki, stając się prawdziwym *business man*! Przez ten czas nie tylko Ocean oddzielał mnie od ziemi ojczystej. Jakaś przepaść powstała między mną i Francją i zdawało mi się, że nigdy nie zdołam jej zasypać...

Od dwóch lat nie otrzymałem od Williama innych listów, oprócz krótkich, zwięzłych, prawie suchych listów, przychodzących co pewien określony czas i odnoszących się przeważnie do wspólnych interesów, a nie zawierających nigdy najmniejszego wspomnienia o przeszłości, lub jakiegokolwiek wzmianki o teraźniejszości!... Pustkę pod tym względem wypełniał swymi listami Marcadian, z którym na swe szczęście utrzymywałem korespondencję... Od niego też jedynie miałem wiadomości o Ewelinie i o jej dwojgu dzieci, Piotrze i Zuzannie... Listy jego dość przetrzyste, nie pozostawiały mi najmniejszego złudzenia co do szczęścia domowego mej córki... W wiadomościach, przysyłanych mi o jej małżeńskim pożyciu, często wspominał o mizantropii Williama, która od powrotu jego z Ameryki przyjmowała zastraszające rozmiary, o zdrowiu jednak swej córki dostawałem tylko rzadkie i niejasne informacje!... Pole obserwacji Marcadiana ograniczało się tylko do zewnętrznych pozorów i w korespondencji swej okazywał się on naiwnie szczęśliwym, gdy pisał o majątku i stosunkach towarzyskich swej siostrzenicy!... Najwięcej szczegółów otrzymywałem o przepychu pałacu, jaki William kazał wystawić sobie i o eleganckim życiu, jakie mogła wieść Ewelina, mimo ciągłych nieporozumień domowych!

Będąc obojętnym zupełnie na te zewnętrzne oznaki szczęścia, które w istocie wcale go nie dają, powracałem ciągle w swych myślach do przedmiotu, mogącego pogorszyć jeszcze i tak pełne przykrości życie Eweliny... Zmora ta, jawiąca mi się często tak we śnie jak i na jawie, była Lucya Weill, o której nie mógł zapomnieć William... Przez te dwa lata nie słyszałem nic o niej i nie wiedziałem, co się z nią stało.

Aż oto, gdy w grudniu zostałem wezwany do Kanady, dla załatwienia ważnych spraw trustowych, spotkałem niespodzianie w Montrealu Lucyę Weill... Zdawać mi się obecnie może, iż wstąpiłem wtedy na minę, która zdrzgnęła do reszty me życie i me straszne przygody zakończyła w jeszcze straszniejszy sposób, jaki mógłby przewidzieć tylko Joe Duncan, ciągle mszczący się małżonek cudzołóżnej Nelly Burlington. Po raz pierwszy dopiero przyjeżdżałem do Montrealu i gdy wysiłam z wagonu po dwunastogodzinnej męczącej podróży, stanąłem jak olśniony... zdawało mi się, że znalazłem się we Francji....

(Ciąg dalszy nastąpi).



Położyłem obie ręce na biurku i zacząłem płakać żałośnie nad swoim losem.

mule i stanowiło groźbę na poparcie jego zadania. W zadaniu tem była ukryta przestroga, której znaczenie dobrze pojmowałem. ...William opierając się tylko na wyznaniu swej żony, doszedł do wniosku, iż ja jestem ojcem Eweliny.

Przez zlecenia, jakie zostawił dla mnie u swego pełnomocnika, dawał mi jasno do zrozumienia, iż nie chce, abym się mieszał do życia jego z Ewelina. Oddanie mi zaś w ręce kierownictwa swym majątkiem, miało świadczyć iż nie zamierza wcale wyjawić strasznej tajemnicy mego życia, jaką odgadł.

Wszczynąć obecnie walkę z Williamem byłoby to samo, co narażać i tak już godny politywania los Eweliny. Przyznać zaś mu się do wszystkiego — miałoby ten skutek, iż na przyszłość pozostałbym względem niego zupełnie bezstronnym! Nie miałem więc tu żadnego wyboru!

Tak, po tysiąc razy tak! William miał rację! Znikając dla świata pierwszy raz, zachowałem honor swego nazwiska i w ten sposób wygrałem sprawę przed społeczeństwem! Wygrana musi pozostać przy mnie aż do końca... Mam być nadal Brentanem, ponieważ rzeźbierza Barrabasa już nie ma na świecie.

Przeżywane obecnie chwile były dla mnie tak